Rok II. Kraków, 22 maja 1871. Nr. 46.



Wychodzi 7 i 22 każdego miesiąca.
Redakcja przy ulicy Florjańskiéj pod numerem 363.
Rękopisma nie zwracają się.

Właściciel
Arkadjusz Kleczewski.

Prenumerata kwartalna.
w Austrji złr. 1. w W. Ks. Poznańskiém 25 sgr.
Numer pojedynczy 20 cent. Ogłoszenia po 5 cent.

DÖLLINGERJADA.

POEMAT BOHATERSKI.

Pieśń pierwsza.

Treść: Wstęp. Prośba poety o natchnienie. — Nieprzerwalność snu krakowskiego. — Narkotyczne wpływy *Czasu* i *Przeglądu Polskiego*. Bezskuteczne wycieczki *Kraju* przeciw wiatrakom. Odgłos trąby wojennéj budzi nagle ospałe zastępy.

Muzo pogańska! parnasowa córo!
Natchnij mój umysł djabelski, wyklęty,
Zmaczaj w Veuillota inkauście me pióro,
Bym mógł opisać bój srogi, zawzięty,
  Który wojennych wzbudził wrzawą rogów
  Miasto dewotek i archeologów.

Spało miasteczko snem sprawiedliwego,
Z potęgi chytrych urągając biesów;
Ni magistratu czyny sławetnego,
Rządy prezesa i wice-prezesów,
  Ni kwestja gazu, kommuny gorączki,
  Nie mogły zbudzić z cnotliwéj téj śpiączki.

Czas, niańka grodu, przemądry nasz *Times*,
Lulał go do snu piosenką stańczyków;
Wtórzył mu *Przegląd*, moderantów *cymes*,
Wtórzyły święte pienia warowników.
  Próżno *Kraj* nieraz na bój go wyzywał,
  Kraków wciąż w drzémce jak rabin się kiwał.

Nagle w téj cichéj, nabożnéj ustroni
Wrzask trąb bojowych przerywa sen słodki,
Grzmi miasto wrzawą: „do broni! do broni!!
Z rąk upuszczają różańce dewotki,
  Czas nawet zrzuca płaszcz utkany z pleśni…
  A co się stało, w drugiéj powiem pieśni.

Pieśń druga.

Treść: Jeograficzno-historyczno-polityczny opis Rzymu. Sobór powszechny, rady i wpływ nań jezuitów. Dogmat nieomylności popierany przez biskupów hiszpańskich i włoskich — głosy przeciwne biskupów z innych krajów. Odgłosy téj sprawy w dziennikach galicyjskich. Potężne działania *Warowni krzyża*. Opozycja przeciw-dogmatyczna organizuje się, rzucając pierwszy zasiew wojny domowéj krakowskiéj.

Jest za górami w Italskiej krainie
Gród — zbudowany na siedmiu pagórkach,
Niegdyś w nim gadał naród po łacinie
Kiedy w pogańskich zostawał pazurkach.
  Potem w nim rządził papież z kardynały,
  A dziś rej wiodą włoskie liberały.

Tam to, przed rokiem, ze wszystkich stron świata
Liczne prałatów zebrały się szyki
Ażeby ukuć potężne dogmata,
Któreby na proch starły heretyki;
  Zgniotły zamysły srogie Wiktorowe
  I powróciły dzierżawy Piotrowe.

By więc bezbożnych wykorzenić zgoła,
Zakon Lojoli przebiegły i silny
Nieznacznie Głowie podsunął kościoła
By się ogłosił, że jest nieomylny —
  Że co on powie — to są słowa Boże,
  I by ten dogmat stwierdzić na soborze.

Z tą przecież sprawą nie poszło tak gładko;
Wprawdzie hiszpańskie i włoskie biskupy
Wiedli dysputy wciąż za panią matką,
Sentencje różne padały jak trupy —
  Ale prałaci z oświeceńszych krajów
  Niechcieli z książąt zmienić się w lokajów.

I w polskiéj ziemi zapasy te włoskie
Różnym personom weszły w gardło kością,
Wrzały gazety krakowskie i lwowskie:
Czas z *Unją* wrzeszczą za nieomylnością,
A *Narodówka* i Lwowski dzienniczek
Owej *nowości* wycięły policzek.

Ultramontany na alarm zawrzasły,
Warowni krzyża wzmacniają wieżyce,
Na czele stanął doktorek opasły,
Potężną rurę ujmuje w prawicę —
A oczekując okazji do czynów,
Gra w wista, albo — śpi u Kapucynów.

Nakoniec mądrych przemogła gromada;
Bo choćby prawił od rana do nocy,
To nigdy mędrzec tłumu nie przegada;
Więc nowy dogmat wyleciał jak z procy
Na świat szeroki — w dzień Zielonych świątek,
A z nim i wojny krakowskiej początek.

Bo gdy z soboru powróciła do dom
Wnet opozycja srodze się rozżarła,
I tuż zaczęła tłomaczyć narodom:
Że wolność dawna kościoła umarła —
Że papież zawsze omylić się może,
A nieomylność jedno przy soborze.

Pieśń trzecia.

Treść: Ks. Döllinger z Monachium, papista wiekszy od samego Papieża, staje na czele opozycji. Za to wyklety. Oburzenie Prusaków. Jezuici poznańscy korzystaja ze sposobności, by wywołać rozdział w społeczeństwie polskiem. Działania w tym kierunku Kajetana Morawskiego. Cztery punkta przedwyborcze. Kościańskie wyznanie wiary. *Tygodnik katolicki*, organ ks. Halki, rozdmuchuje pożar wojny domowéj. Umizgi ultramontanów do Bismarka. Odpowiedź tegoż posłom polskim, przyjeta oklaskiem przez *Tygodnik*, wieńczy dzieło. Przygotowanie do wojny w Krakowie. Złote pióro Maurycego Manna i piorunujaca wymowa ks. Goljana, przygotowują sztuczne wzburzenie umysłów. — Poeta-historyk-poseł Szujski *bezwiednie* staje się nowym Benedettim. Pierwsze strzały z haubicy ks. Goljana. Lud galicyjski służy mu za dowód, że „*wiara bez uczynków martwą jest*“.

Döllinger z München niechętnych był głową,
Niemcem gadułą, a czartowskim synem,
Bo mówił prawdę, a popierał słowo
To świętym Pawłem, to znów Augustynem.
Że zaś okrutnie nieomylnych młócił,
Więc kościół klątwę straszliwą nań rzucił.

Niemców to srodze ubodło ambicję:
Toż oni zbili na głowę Francuzy,
A tutaj kościół śmie rzucać bannicję
Na księdza z nacji, co daje dziś guzy
I Europę wpakować chce w *Zwinger* —
A więc wrzasnęli: *Lebe hoch! Döllinger!*

Kiedy w Germanji sroga wre już walka,
Poznańscy *niemcy* niezaspali sprawy;
Dzielny Morawski i dzielniejszy Halka
Polskim wyborcom bój wydali krwawy;
Toż i w Krakowie znaleźli się męże:
Mann i ksiądz Goljan gotują oręże.

Poważny *Przegląd* przeczuł co się święci,
Widzi, że przyszła krytyczna nań chwilka,
Że się z téj sprawy sianem nie wykręci,
Więc Szujski pisze co żywo: *Słów kilka.*
Choć nie miał racji sprawiać się przed nikiem,
Na gwałt dowodzi, że jest katolikiem.

Ksiądz Goljan skoro czarny fałsz wyczyta:
„*Że ultramontan rośliną jest Francji*“
Wpadł w gniew straszliwy, za kropidło chwyta,
Kropi racjami pisząc: „*Moderanci*“:
Że wiernych tylko dwóch jest w téj stolicy:
Ksiądz Goljan Zygmunt i pan Mann Maurycy.

„*Inteligencja już przebrała miarę*“ —
Mówi pogromca — „*a umysł jéj chory,
Tylko prawdziwą lud zachował wiarę*“
(Który rznął szlachtę i podpalał dwory).
O heretyku! o Szujski *quid facias?*
Spuścił kropidło, szepcząc: *Deo gratias!*“

Pieśń czwarta.

Treść: Ksiądz kaznodzieja. Jego młodość i powód wstąpienia do teatru. Doznany zawód i seminarjum. Próbki poezji erotycznej. Kaznodziejstwo. Wyprawa do Warszawy na wojnę z powstaniem. Powtórny zawód i powrót do Krakowa. Mycie schodów na pensji. Imieniny na Smoleńsku.

Zazwyczaj niegdyś Homer i Wirgili,
Gdy swoje wielkie epopeje kuli;
Ani fantazji ni barw nie szczędzili,
Aby opisać rycerzy i króli.
My się téj samej trzymając manjery,
Pokrótce skreślim nasze bohatery.

Pierwszy: Ksiądz Zygmunt z umysłem namiętnym;
Gdyby mu „kartą“ los dał był się zrodzić,
Byłby pamfilem albo tuzem świętnym
Tak bijać lubi i wszędzie rej wodzić;
Gdyby zaś żywot przepędzał na scenie,
Gardziłby Talją, służył Melpomenie.

Jeśliby owe wieki go wydały
Gdy Kalwin z Lutrem jął broić tak sprośnie,
To obu niemcom takieby dał wały
Żeby zmykali aż kędy pieprz rośnie.
Wzrok ma iskrzący, a kolor lic blady,
Coś nakształt Alby, albo Torquemady.

Gdy głos potężny wzniesie na ambonie,
Drży wszelki kacerz i zdycha liberał;
Gdy na bezbożnych gniew srogi wyzionie,
Zda się, że wszystkich w proch by porozcierał.
A gazeciarzom gdy wlezie na skórę,
To już każdemu chyba w mysią dziurę.

Ongi w Królestwie, gdy było powstanie,
Kazał w katedrze — wśród gwałtownych krzyków
Miotał obelgi — lżył lud nieprzerwanie.
Próżno z szubienic ciała męczenników
Błagały modlitw, albo łezki żalu —
On im urągał i to przy moskalu.

Próżno usłyszeć radbyś z kazalnicy
Miłości słowa Chrystusa — Jak utnie
Na świecki rozum, na zbrodnie ulicy,
Lub gdy się zada z dziennikarstwem w kłótnie,—
Wnet zapominasz żeś w przybytku pańskim,
Myśląc że jesteś na placu Szczepańskim.

Lica mu płoną, żar w oku się pali,
Miota się, ciska w tę i ową stronę,
A pięścią nieraz tak potężnie wali,
Iż zda się, w trzaski zgruchocze ambonę.
Ze skroni spływa gęsta potu struga
I toż to kapłan? Chrystusowy sługa?

Nie jest on jednak złym człekiem — broń Boże!
A nawet Polskę po swojemu kocha,
Ale w przekonań gorącym ferworze
Snać zadaleko posunął się trocha —
I snać zapomniał, przejęt żarliwością,
Że Bóg jest Ojcem — że Bóg jest miłością.

I snać zapomniał, że serc nie nawraca
Srogość i klątwa. Że to miłość pono
Porusza skały — że wdzięczniejsza praca
Marnotrawnego powrócić na łono —
I snać zapomniał, że jako świat światem,
Polskiego ludu nie nawróci batem.

Szatan tu pewnie swą rolę grać musi.
Kiedyż on zdrajca, z dopuszczenia Pana,
Najsprawiedliwszych i najświętszych kusi,
Zaczby nie kusił i księdza Goljana?
Szepcząc mu: walcz, walcz z społeczeństwem całem,
Zrobięć biskupem, ba, i kardynałem.

Więc też z podszeptów onego szalbierza
Miota się ciągle natura ruchliwa —
I w *Moderantach*, adres do Papieża,
Ksiądz Goljan „*nędznym adresem*" nazywa.
Dał się zwieść czartu — on zrobił go za to,
Czy herezjarchą — czy też apostatą.

O! gdyby kapłan z tak piękną wymową,
Jak Skarga zbrojny w uczucie gorące,
Miłości Bożej podawał nam słowo,
Wnetby serc chłodnych zapalił tysiące —
Lecz stał się dzisiaj dysząc gniewem wiecznym.
Kościoła u nas wrogiem niebezpiecznym.

Dość już w świątyniach téj wojny, hałasu,
Walk z dziennikarstwem — ulicznych dość plotek;
Może to dobre dla *Unji* i *Czasu*
I dla zastępu próżniaczych dewotek —
Po co nienawiść siać w własnym narodzie,
Gdy się podźwignąć możem tylko w zgodzie!?

Salvo honore, lecz księże Goljanie,
Porzuć raz nałóg wymyślania brzydki;
Daj nam raz pełne miłości kazanie,
Bo się z nas dzisiaj już śmieją i żydki —
Weź z twym systemem rozbrat niepociesznym,
Bo mógłbyś złym być, gdybyś nie był śmiesznym.

Pieśń piąta.

Treść: Drugi adwersarz. Pypeć i kapelusz. Klinika i terapeutyka, czyl wbijanie klinów ultramontanom. Walc i *servus*. Adresomanja i adres Prymarjuszostwo i *Pressa*. Polakofobja.

A teraz zwróćmy w inną stronę oczy.
Tam to adwersarz znów stoi kolosem
On — co o dogmat zwycięzki bój toczy
I nieomylność zwala jednym ciosem.
Gdy spojrzy, już Rzym w posadach się wali —
Warto, abyście także go poznali.

Byłoby Muzy wysileniem marnem,
Gdyby opisać chciała tego męża,
Co słów zamętem swe myśli zmitręża,
Co czarne białem, a białe zwie czarnem.
I znów na opak, sprzeczny z sobą wzajem,
Raj nazwie piekłem, a piekło zwie rajem.

Zkądże ta sprzeczność? zgadnijcie, o mili!
Oto, że mową ojczystą źle włada;
Niemcy mu pypeć na język wsadzili,
Więc też po polsku zaledwie że gada;
I czy klinikę, — czy zwiedza salony,
Chociaż *ma słusznie*, wciąż *jest przeszkodzony*.

Wojowniczego pełen animuszu,
Pogromca mnichów i w celi i w furcie,
Mąż ten zwykł chodzić w aksamitnéj kurcie,
W wiatrakowatym z pilśni kapeluszu,
I w téj z fantazją kręconéj kokardzie,
Co jawnie świadczy o symetrji wzgardzie.

Włos posrebrzony, kształtem przypomina
Kędzior Szyllera — nos z po nad profila
Dziobem wystaje, i, według Darwina,
Daje się wywieść od praojca Gila.
  Nóżki w lakierkach kręcą się wytrwale
  Czy walc grzmi w poście czy też w karnawale.

Tożto bohater szalonego tańca!
Mógłby walcować nawet z Döllingerem,
Bo kto do tańca, to i do różańca, —
Lecz do popisów krakowskich walc zerem.
  Krakowski walec to istna *malera*,
  To nie u Szperla lub u Englendera.!

Kto chciałby wiedzieć, z jakiego narodu
Mąż ów pochodzi — niechże go nie pyta
Bo go obrazi — z Zachodu do Wschodu
Jego Ojczyzna — to kosmopolita!
  On patryotyzm ma za rzecz poślednią,
  A narodowość u niego jest brednią.

Kiedy nad chorym w fantastycznéj pozie
Czasami zgadnąć nie może cierpienia,
Nie będąc arcymocnym w dijagnozie
Wciąż różne środki przerzuca i zmienia.
  Więc odkąd w murach zasiadł on kliniki,
  Jako za Dietla nie słyną medyki.

Zresztą człek dobry — u siebie rad z duszy;
Często sproszonych przyjmuje w gościnie
I koncercikiem uraczy ich uszy
I na wieczerzy nie zbraknie ni winie;
  Lecz że tam same schodzą się laiki,
  Klną go dewotki, nielubią stańczyki.

Doktór nie sądzi człowieka po szacie;
Czy go elegant wita czy oberwus —
Czy demokracie, czy arystokracie
Z wdzięcznym uśmiechem odpowiada: „*servus.*“
  Mniemasz, gdy wita uściśnieniem szczerem,
  Że nie *cywilem* lecz jest oficerem.

I żył w pokoju lat kilka już błogo,
Gdy nagle djabeł zbudził Döllingera;
A że mu niemcy hołd palą jak mogą
I ślą adresy, ody et caetera,
  Zwłaszcza niemieckie uniwersytety —
  Więc i profesor nie uszedł podniety.

Miał Döllingera snać za Antychrysta,
Racjonalizmu mniemał go szermierzem,
Niewiedząc wcale że to jest papista —
Tylko pragnący aby nad papieżem
  Górę miał sobor, nie on nad soborem,
  I ztąd to walił w ów dogmat toporem.

Więc nasz bohater w pomysłach swych skory,
Chcąc Döllingera uczcić jak Germany —
Zebrawszy inne wiedeńskie doktory,
Rznie adres w mowie Hermana spisany.
  Że zaś ciemnotę uderzył w nim śmiało,
  Więc go i uczniów wielu podpisało.

Pieśń szósta.

Treść: Adres przeszedłby niespostrzeżenie, gdyby nie uszy *Czasu*. Genealogja *Czasu* i przy okazji (na wyraźne żadanie *Przeglądu lwowskiego, Tygodnika katolickiego* i w. in. bjografja jego redaktorów. Blada charakterystyka *Kraju*. *Wyświecenie* kliniczne i co daléj było.

Jakoś to właśnie z rodzącym się Majem
Bohater spisał ów adres straszliwy—
A Kraków drzémał odwiecznym zwyczajem,
Jak winien drzémać, gród zacny, sędziwy.
  I byłby przespał adres bez hałasu,
  Gdyby do uszów nie doszło to *Czasu*.

A wiedźcie, iż *Czas* ciekawym jest sprośnie,
A ma on uszy — niech się . . . . . zając schowa!
Słyszy za wszystkich mieszkańców Krakowa,
Wie jak kto myśli i jak trawa rośnie,—
  Pismo to święte, moralne, lojalne,
  Cudnie krytyki pisze teatralne.

W czterdziestym ósmym roku urodzony,
Gdy rewolucja strasznie rozhukana
Jakby z kart budki obalała trony,—
Ojczulkiem chrzestnym miał pana Lucjana,
  Co porzuciwszy liberalne mrzonki
  Począł w redakcji odmawiać koronki.

Odtąd *Czas* ludziom podaje swe plewki,
Pilnując skrzętnie zkąd wietrzyk powiewa,
Kręci się w kółko na wzór chorągiewki
I zgodnie z *czasem* sentencje swe śpiewa
  Tenorem, altem, sopranem i basem;
  I z téj przyczyny mianuje się *Czasem*.

Dziś wieje z niego duch ultramontański,
(Rewolucyjny przed ośmiu wiał laty);
Trzech redaktorów, jak Atlas pogański,
Dźwiga na barkach złocone te szmaty.
  Czwarty człek grzeczny—z wielką swoją biedą
  Wlazł tu nieborak — niby Piłat w *Credo*.

Główny redaktor — katolik jedyny,
Słynie z podróży do Kairu, Gazy,
Z niezapomnianéj swéj „*Szarej godziny*“,
W któréj to książe dwadzieścia mdlał razy.
  Pisał komedje jak „*Nigdy i zawsze*“
  Coraz to ckliwsze, coraz nieciekawsze.

On to jest *Czasu* opiekuńczą sową
(Sową mądrości). On dźwiga ołtarze,
A w polityce mądre jego słowo
Europejscy studjują mocarze.
Znacie go wszyscy, bo komuż nieznana
Wysmukła postać Maurycego Mana?

Drugi — to kontrast — w złotych okularach,
W rozmiarach tuszy z „Warowni“ prezesem
Walczy o lepszą — niegdyś na sztandarach
Dźwigał *Jutrzenkę* — lecz kiedy z kretesem
W łeb rewolucja wzięła, jak potrzeba,
Przeszedł do *Czasu* dla chleba — nie nieba.

Trzeci — o Muzo! wiem, twój to gagatek,
Gdybym cię wezwał, natchniesz mnie na opak;
Lucjan — to specjał nabożnych magnatek,
Choć głowa srebrna, len psotny jak chłopak.
Chociaż liberję wdział ultramontana,
Drwi z panów, z *Czasu*, z Goljana i Mana.

Jest na przyprzążce świątobliwy młodzian,
Co rznie kacerze swojém piórem świętem;
Łaską dwóch matek rywalek przyodzian,
On najwytrwalszym *Warowni* cementem.
W hrabskiéj koronie, istny mamin synek,
W potocznéj mowie zwie się Benjaminek.

Oprócz redakcji są i właściciele,
Ale się za nią kryją jak za tarczą;
Płacą i płacą i płacą wciąż wiele,
Dopłacać będą dopóki wystarczą —
A mają jeszcze przywiléj ten głupi,
Że co *Czas* zmiele, to się na nich krupi.

Czas, gdy języka o adresie dostał
Wnet zardzewiałej dobył szerpetyny
I profesora potężnie wychłostał,
Chytrze o stronne winiąc egzaminy,
I prawość jego pomawiał tem zdradnie,
Że kto odmówił podpisu — przepadnie.

Na takie *dictum*, młódź gniewem przejęta
Pali *Czasowi* dotkliwą replikę,
Groza ogarnia jezuicką klikę,
Zadrżał gród Piasków o swe pacholęta.
Krzyczą na Senat o wyznanie wiary,
Nawet się zbudził i pan Tomasz stary([1]).

Tu *Kraj* skrzywdzonych ujął się honoru,
Szczęśliw, że pora sprzyja do zaczepki,
Bo *Kraj* studencik buńczuczny i krzepki,
Pełen krnąbności, narowów, uporu,
Zawsze zuchwały, a często jałowy,
Niekiedy z głową a częściej bez głowy.

Nadzwyczaj biegły w galilejskiéj mowie,
Jak Mojżesz zwala sejmu złote cielce;
Lecą w proch starte ministry, posłowie —
Stronnicy *Czasu* brzydzą się nim wielce,
Boć to kommuny paryzkiéj zachcianka,
Co swym Roch'fortem obrała Szczepanka.

I tak *Kraj* z *Czasem*, niby dwa pinczerki,
Strasząc się wzajem ostrych zębów błyskiem,
Wciąż nieustanne zwodzą tyraljerki,
W obu *kronika* jest pobojowiskiem —
Czas w niej ulicy zadaje wciąż rany,
Kraj wali pany i ultramontany.

W czterdziestu świątyń uderza *Czas* dzwony,
Kraj mu w orkiestry odegrywa kocie,
Przeciera oczy Kraków przerażony,
Babcie i mamy, wujaszki i ciocie
Wnet do kościołów tłoczą się nawałem
Krzycząc: „A słowo . . . aj!! . . stało się ciałem„

I wnet na mieście poczyna się heca:
Młodzież zebrana na niemiecki sposób
Blaskiem pochodni doktora wyświeca;
Straszne *clamantes* wśród nabożnych osób —
Klaskają w dłonie ojce jezuity,
Owca zje śledzia, a wilk będzie syty.

Ksiądz Goljan krzyki podnosi w niebiosy:
Że jest znieważon srodze Ojciec święty,
Że katolicyzm chcą zabić młokosy
Że kto podpisał adres — ten wyklęty.
Że przez ten adres już Polska umarła;
Wszystkie tercjarki wtórują mu z gardła.

Tak rozdmuchawszy wojenkę tę świętą,
Czas zatarł ręce, że mu się udało
Jnteligencję poniżyć zuchwałą,
Błotem obrzucić *ulicę* przeklętą,
A liberałów zapędzić do matni . . . . . .
Co było daléj — to w pieśni ostatniéj. —

[1]) Pan Tomasz (potomek po kądzieli p. Filipa z Konopi) wyciął sobie takiego krakowiaka:
„Krakowiaczek ci ja, w Krakowiem się rodził,
Tutaj ci wyrosłem, tum do fary chodził.
Na krakowskim brzegu, chłopak babę *szturka,*
Tom nie ja list pisał, ale moja córka.
Chodzi wilk za kozą, a za krową cielę,
Przyjmijcież odemnie cześć, obywatele.
Cześć obywatele i (jak się nazywa)
Siwy konik siwy i kobyłka siwa.
Siedzi baba, siedzi, czyta sobie sennik,
Bodaj zdechł, kto krzywdzi poważny nasz dziennik.
Nasz *Czas* ukochany, ustalonéj sławy,
Jak wawelska skała wiecznie nieruchawy.
Bodaj zdechł, kto krzywdzi przezacnych i świętych
Redaktorów *Czasu*, jak pęcherz nadętych.
To mnie tylko cieszy, że nie krakowianin
Ale cudzoziemiec, ale Podgórzanin;
Albo Podgórzanin, lub też z Kongresówki,
Hej! krzeszcie mi ognia z radości podkówki!
Hej! krzeszcie mi ognia na cześć tego miasta,
Poskacz sobie Tomciu! poskacz *se* i basta!“ —

Pieśń siódma.

Treść: Statystyka Kleparza. Majówka i kazanie. Ucieczka kaznodziei. Bitwa. Lista poległych. *Postfestum* policjanci. Zakończenie. Djabeł moralistą. Jazda na łopacie.

W piastowskim grodzie jest jedno z przedmieści
Gdzie nad talerze przekłada się miski,
Emancypacji siedlisko niewieściéj,
Lerchenfeld Wiednia, lub *Saint Jaques* paryzki.
Szynkarz tu gwiazdą — mularz luminarzem —
A w jeografji zowie się Kleparzem.

Kleparski naród ma poczciwe serce,
Ojczyznę kocha lepiéj niż świętoszki,
Choć nieco rozum utopił w kwaterce,
Choć rej w nim wodzą opasłe kumoszki —
Lud to serdeczny, wesoły jak dziécię,
A już za Polskę, to chętnie da życie.

Lubi on wszelkie bijatyki srodze,
Niecierpi strasznie niemców i moskali;
Kiedy ma w czubie nie staj mu na drodze,
Choćbyś był *Czasu* dygnitarzem — zwali.
Do bicia żydów bierze go pokusa,
Bo ci to oni męczyli Jezusa.

Że Kleparzanin do bitki, wypitki
Zawsze jest skory — więc gdy mu szepnięto:
Że Akademja straszne robi zbytki
I chce wytępić *„religiję świętom.“*
I sprzedać niemcom katolickie dusze —
Wnet się rozżarły srodze animusze.

W czwartek, w kościele świętego Florjana
W Kleparzu była Majówka wieczorem,
I na ambonie ujrzałeś Goljana
Jak powstał z większym niż zwykle ferworem
Na adresantów, jakoby na źwierza,
Co nieomylności śmią przeczyć Papieża.

Było tam kilku techników, medyków,
Tłumy mularzy i pobożne panie,
Wciąż wzdychające przez całe kazanie.
Mularze wzrokiem mierzą przeciwników
Wiedząc od pewnéj damy zakwefionéj,
Że to bluźnierce i straszne massony.

Wreszcie pobożni opuszczają mury
I młódź — nie wiedząc wcale co się święci;
A we drzwiach mularz pięść wzniósłszy do góry,
Krzyknie: „A tuście, bezbożni studenci!“
„Chcecie rznąć księży i burzyć kościoły,
„Sprawim wam *lanie*, przeklęte gryzmoły!

I uderzywszy niby młotem wołu
Pięścią, cylinder osadza na brodzie;
Rzuca się gawiedź na młodzież pospołu,
Z ogromnym wrzaskiem: „bij! bij! bij! narodzie,
„Oni żrą dzieci i krają kobiéty
„I sprowadzają do nas jezuity.“

I powstał chaos, zmięszał się tłum cały:
Tu legł cylinder, tam krawat z kokardą,
Klęska tak wielka, jak gdy Włochy sprały
Lamoricièra pod Castelfidardo —
Ultramontańskich tutaj odwet szyków
Tam bito one, a tu przeciwników.

Wre sroga walka, krwi niewidać wcale,
Bo tu rozstrzyga kamień ostatecznie,
Ale trup pada: legł binokl, dwa szale,
Osiem cylindrów poległo walecznie,
Z przeciwnej strony zginęło za wiarę:
Guzik od kurtki i dwa pędzle stare.

Doktor miał właśnie wizytę wieczorną,
Gdy o spotkaniu wieść doszła zaciętem,
Więc akuszerek zbrojny instrumentem,
Wybiega gromić tę gawiedź niesforną —
Ale za późno — już pędzą na planty
Przerwać bój srogi mężne policjanty.

Żarty na stronę. — O, biedny narodzie!
Na toż ci przyszło, że zamiast żyć z sobą
W miłości bratniéj i serdecznej zgodzie
Na biednej ziemi okrytéj żałobą —
Kiedy cię lada podjudzi człeczyna,
W bratobójczego zmieniasz się Kaina!

Ultramontanie, Stańczyki, Prusacy,
I demokraci i arystokraci
I liberały i . . . . wiedzą ich kaci!
A wszystko wrogi, choć wszystko Polacy.
A wstyd, doprawdy, na ten naród cały,
Że aż mu *Djabeł* musi pleść morały.

Tym fabrykantom stronnictw wszelkiéj barwy,
Z najrozmaitszych śpiewającym tonów,
Djabeł obłudne ma chęć zedrzeć larwy
I palnąć wszystkim choć po sto ogonów.
I tym środeczkiem nakłonić do zgody,
By z nas nie drwiły postronne narody.

A teraz z żalem pożegnać was muszę.
Bywajcież zdrowi w cylindrze i szkiełku.
I kaznodzieje! Jezusa socjusze!
Toż się znów kiedyś zobaczym w piekiełku
I pogawędzim, jeżdżąc na łopacie,
To o adresie, to znów o dogmacie.



135

Widzenie.

A idąc przez ono miasto, zobaczyłem tłum ludu przypatrujący się ciekawie. A przed tym tłumem dwóch mężów darło się za włosy i biło się pięściami i kopało nogami,—a piana z ich ust a złość z ich oczu tryskała. A zdziwiłem się temu wielce i przystąpiwszy do nich rzekłem:

— Rzeknijcie męże, a powiedźcie mi jaki jest powód, że się rzucacie na się jako dzikie bestje?

A oni stanąwszy, mówili razem:

— Wiara.

A niewiedziałem jakaby to wiara pluć na siebie kazała. I zapytałem powtórnie:

— Kto zacz ty?

— Jam katolik.

— I ja katolik! krzyknął drugi.

— Kłamstwo! wrzasnął pierwszy. Tyś moderant!

— A tyś ultramontanin!

— I znów wzięli się za łby.

I niewiedziałem co myśleć o tych mężach i odszedłem zadumany, a tłum przypatrywał się dalej.

Najnowsze rozporządzenia magistratualne.

1. Dbali o świetność naszego miasta, zakazujemy p. Moleckiemu Kasprowi, piernikarzowi w Krakowie używania herbu miasta Krakowa, gdyż barwa pierników jako nieprzyzwoita, uwłacza powadze miasta i Rady.

2. Stosownie do liczby konsensów szynkowych postanawia się, że tylko w 365 szynkowniach upijanie się jest dozwolone. Upijanie się zaś w szynkach nadliczbowych będzie przez nas ignorowane i uznane za nieważne, o czem amatorów legalnego upijania się niniejszém zawiadamiamy.

3. Ponieważ p. Plater niechce się podjąć restauracji Sukiennic zadarmo — nadto, ponieważ tenże p. Plater przekonawszy się, że mu p. Barański źle dach wymierzył, sprowadza niemieckich rysowników, którzy także za darmo rysować nie chcą—przeto prezydium postanowiło p. Platera od restauracji usunąć, a powierzyć odfuszerowanie Sukiennic p. Barańskiemu, który tylokrotnie dał dowody gorliwości i zdolności budowniczych, a zatem lepiéj tego dokonać potrafi aniżeli sam autor planu.

SPRAWOZDANIE

z dorocznego walącego się Zgromadzenia Orła białego krakowskiego.

Prezes stowarzyszenia zagaja zgromadzenie mową, w której wykazując *potrzebę* i użyteczność podobnego stowarzyszenia, stawia wniosek, aby się stowarzyszenie to *rozwiązało*. Stowarzyszenie odrzuca ten wniosek stanowczo i obiera prezesem prezesa Towarzystwa Ogniotrwałego. Nowy, dubeltowy prezes, dziękując za ten zaszczytny zaszczyt, proponuje Orłom zwinąć lot i schować się pod hełmy straży ochotniczej. Propozycja przyjęta rzęsistemi oklaskami.

Ciekawe ogłoszenie.

!Nie do uwierzenia, a jednak prawda!

Nakladem

Franciszka Foltyna

w Wadowicach

wyszło i jest do nabycia

Nowe archeologiczno-weterynaryjne dzieło

J. Łepkowskiego.

o leczeniu chorób koni przedpotopowych i tych, które na wyścigach krakowskich o baty hr. Wodzickiego ubiegać się będą; o leczeniu chorób bydła krakowskiego od najdawniejszych aż do przedhistorycznych wieków, także świń biblijnych współbiesiadnic syna marnotrawnego, jako też niektórych trawomarnych synów miasta naszego; owiec pożeranych przez smoka podwawelskieego i przez jaśnie oświeconych smoków czasów naszych — w końcu dodatek o sposobie leczenia chorób psów, które pożerały panią Jezabellę, żonę Achabową, z rozkazu Eljasza proroka, jakotéż wielu innych psów krajowych.

Cena egzemplarza złr. 1 w. a.

Dla wyznawców tych samych przekonań religijnych i politycznych, jakie wyznaje szanowny autor weterynarz, cena zniża się od połowy aż do gratis.

WAŻNE

dla dostojnych mieszkańców

m. Krakowa.

Wezwany zaszczytnie przez gryzące się nawzajem partje polityczne i religijne w Krakowie — przybyłem i donoszę interesowanym, że zaopatrzyłem się w najrozmaitsze gatunki zębów, a mianowicie;

1. **Zęby przyjacielskie** do gryzenia najserdeczniejszych przyjaciółek, pieknie emaljowane. *NB.* Na żądanie, na każdym zębie może być herb właścicielki wyrznięty.

2. **Zęby dziennikarskie**, nacinane, w najwyszukańszych gatunkach *z fabryk lwowskich,* funkcjonujące z podziwienia godną zręcznością. *NB.* Zęby tego gatunku, nadpsute i wyszczerbione, przyjmuje się do oszlifowania.

3. **Zęby salonowe**, napuszczane *dowcipem,* ważny nabytek dla starych kawalerów.

4. **Zęby polityczne dwulicowe**, z przyrządem ułatwiającym zmienianie ich przy każdym powiewie wiatrów politycznych.

5. **Zęby kaznodziejskie**, napuszczane jadem *nietolerancji,* z dodatkiem flaszeczki tegoż płynu z fabryki św. Florjańskiéj. Jakotéż znakomity wybór zębów dla *wszystkich stanów,* a zwłaszcza powszechnie *ulubiony i poszukiwany* gatunek *zębów szpilkowych,* zwany *jalousie du metier.*

Ceny stałe i umiarkowane.

Hau-hau,

uprzywilejowany dentysta.

Zręczne sprostowanie.

Dzienniki wiedeńskie donosiły, że w piątek popołudniu, jakiś doróżkarz, podmówiony przez partję rewolucyjną, zrobił zamach koniem na *klaczkę* znajomego radcę i przyjaciela politycznego *Czasu i Przeglądu. Czas* prostuje tę wiadomość według prywatnego listu w ten sposób, że zamach na Klaczkę odbył się nie koniem ale dyszlem i że skończyło się na sińcu i opuchnięciu Klaczki.

Tkliwość „Czasu.“

Runęła Francja,
Czas kicha —
Padło papieztwo,
Czas wzdycha.

Lecz kiedy wieść
Spada jak grom,
Że przewrócona
Colonne Vendôme —

Czas z bólu jękł,
I z oburzenia
I z przerażenia,
Ledwie nie pękł.

Oryginalne

korespondencje niektórych naszych Dzienników.

TYGODNIKA KATOLICKIEGO.

Poznań 23 maja.

Victoria! *dezorganizatora* djabli biorą! już drukarnię wypuścił z szatańskich swych szponów — a z końcem kwartału i przeklęty, trzykroć przeklęty *Tydzień* w bezdennych czeluściach otchłani piekielnych pogrążony zostanie. Panu najwyższemu niech będą dzięki za ten dowód nieustającej łaski Jego nad naszym niewinnym barankiem, opiekunem naszych sumień i kierownikiem narodowym, — jednem słowem, nad wami, czcigodny księże redaktorze! Niech przepadną wszyscy *Pustelnicy, Hilarjony, Ustronnicy, Alfy i Omegi!* Niech się przekona świat cały i *Dziennik Poznański* (któremu podobnego losu życzę) że złorzeczeństwa i obelgi ciskane na nas, obracają się na ich autorów, i że tylko na chrześcijańskich podstawach oparte, taką miłości bliźniego nacechowane pisma jak *Tygodnik*, mogą ostać się aż do skończenia wieków i dłużej nawet, jeżeli tak się podoba Jego Ekscelencji Arcypasterzowi naszemu. X. X.

Postscriptum (nie do druku). Gdy nam już *Tygodnia* zabraknie, na kim mamy psy wieszać?

TYGODNIKA WIELKOPOLSKIEGO.

Poznań 27 maja.

Współpracownik nasz A. B. jest niezaprzeczenie jednym z największych młodych ludzi.

C. D.

Poznań 27 maja.

Nasz współpracownik C. D. jest bezwątpienia jednym z największych poetów naszych. Jeżeli on nie będzie wieszczem, to niezawodnie będzie nim wspólny nasz przyjaciel E. F.

A B.

Kraków 25 maja.

To co nasi współpracownicy A. B. i C. D. robią na miejscu, to nie ulega wątpliwości, że ja robię z daleka. Bez pretensji, mogę sobie oddać tę sprawiedliwość, że tak utalentowanego pióra jak moje, nie ma drugiego w naszej literaturze. *E. F.*

P. S. Upoważniam redakcję do zrobienia właściwego użytku z powyższéj korespondencji, i poczynienia w niej zmian i dodatków, jakie skromność moja, pomimo namowy najbliższych mi osób, kazała mi pominąć.

GAZETY NARODOWEJ.

Kraków 23 maja.

U nas rzeź kompletna; rzeźnicy wyostrzyli już noże, (o których pisałem w poprzednim liście) i od 5 godziny już ani pokaż się na ulicy. Mularze mają ciągle jakieś tajne narady nad stosami cegieł, kamieni i wapna! Sam na własne oczy widziałem jak kilku szewczyków kupowało nowe szydła!! W kilku ulicach bruk wyłamano — szklarze robią ogromne zapasy szyb. Nieznajome mi osoby, które Bóg wie co mogą mieć w kieszeniach, w milczeniu kręcą się po mieście. Przechodząc Sławkowską ulicą, spostrzegłem u Höfelmajera skład broni — zapewniano mnie nawet, że już jeden rewolwer targowano u niego. Młodzież zgromadza się tłumnie, szczególnie w bocznych ulicach, jak np. św. Anny, Brackiej i t. p. Czuć w powietrzu że coś wisi, ale co to niewiem. Oto macie wierny obraz dzisiejszego naszego położenia, wywołanego podjudzającemi insynuacjami, i machjawelskiemi artykułami pewnego dobrze wam znanego stronnictwa.

K.

CZASU.

Wiedeń 23 maja.

§. Koło polskie miało dziś tajne posiedzenie i obradowało dalej nad sprawami swojemi. Jednakże rozprawy te już się skończyły. O czem była mowa nie mogę powiedzieć, bo to ważna tajemnica. Dowiecie się o niej niezadługo, zapewne po Świątkach, a świat się zdziwi, gdy się przekona o rezultatach naszych obrad. Bez zdradzenia tajemnicy, sądzę, że mogę się z wami podzielić następującemi szczegółami: Prezes koła nieoszacowany nasz dr. Zyblikiewicz, a jak na dzisiaj jedyny nasz reprezentant, na którego zwrócone są oczy całego narodu, jednomyślnie wybrany został na przyszłego ministra (w razie, gdyby wskutek natłoku adresów zaufania, pan Grocholski stracił zaufanie). Na wypadek odmowy dr. Zyblikiewicza — koło, zdecydowane jest zmusić go do przyjęcia teki. Prezesem koła zostałby hr. Ludwik Wodzicki — i tak daléj, dopóki wszyscy członkowie koła nie zostaną po kolei ministrami. Przyznajcie, że Galicja nie marzyła nigdy o takim pomyślnym obrocie sprawy rezolucyjnéj. Wiernokonstytucyjni wściekają się na przewagę Galicji, ale inaczéj postępować nie można. Może list ten, znowu *Kraj* nazwie tryumfalnym hymnem, ale niech zarazem będzie łaskaw wskazać mi otwarcie, czy jeżeli kiedykolwiek pisałem jakie tryumfalne hymny — nie odwoływałem ich zaraz w następnym liście? ?.

Telegramy „Djabła.“

Wiedeń, *godz. 2 popołudniu.* Dr. Zyblikiewicz jeszcze nie został ministrem.

Poznań, *godz. 3½ popoł.* W dzisiejszym *Dzienniku poznańskim* czytamy w artykule wstępnym: „Nic nowego nie zaszło.“

Berlin, *o północy.* W skutek snu przykrego ks. Bismark pragnąc zjednać polaków, obiecuje oddać im tekę rolnictwa. Dla pamięci zrobił sobie węzełek na szlafmycy. Prawdopodobnie ministrem tym zostanie *von Podbielski.*

Warszawa, *22 maja.* Jenerał Witkowski oburzony na cara, że niechce przejeżdżać przez Warszawę, żąda dymisji albo zwrotu 10000 rubli, jakie by zarobił przy tej okazji.

Z KRAKOWA
do
Prus Zachodnich.

(wolny przekład z francuzkiego).

Kochany Alfredzie! dawno już nieudała mi się taka gruba blaga jak teraz świeżo w Krakowie. Nie ma to jak nasza *haute volée!* tak się umie poznać na czystéj krwi, tak mnie uczcili, ugaszczali i fetowali, że w końcu sam może żyłem

„iż ani jedna gminna łza“

w żyłach moich nie płynie — czy jak tam, bo *parole d'honeur*, nigdy tych głupich polskich wierszy spamiętać nie mogę. No, ale tu mi to niezaszkodziło— owszem, moja czysta paryzka wymowa otworzyła mi wstęp do najpierwszych salonów. Tam u nas w Prusach, nie miałem już co robić, wyższość moja kłuła ludziom oczy; docinali mi żem szkół nie kończył — jakby to szkoły były *nam* potrzebne — że w Paryżu przez jednę zimę puściłem 3000 talarów to i cóż? gdybym tylko był miał więcej wtenczas! że w Berlinie z ministrami żyłem za pan brat, a na dworze byłem jak u siebie — czysta zazdrość, powiadam ci! ale za to tu w Krakowie, to zupełnie co innego! *Ma parole*! tutejsza na wpół spruchniała magnaterja, ani pojęcia nie ma o heraldyce; książęta i księżne, hrabiowie i hrabiny — mało co mnie nie udusili honoracją i attencjami. Jednemu księciu palnąłem bajeczkę o moich miljonach i pałacach (bo sam takie rzeczy lubi, a gdyby wiedział, że mam tylko pół domu rozwalonego, pewnoby do przedpokoju nie puścił, taka dumna sztuka) drugiemu o galerjach i muzeach (za które dawał mi Jankiel z Poznania ośm talarów); z księżną rozprawiałem o sztukach pięknych, (a w uszach bębnił mi ciągle ostatni kankan z Mabilu) — z hrabią rozprawiałem o postępowem gospodarstwie mojem, o polepszeniu bytu włościan, (którzy już w większéj części są własnością Wolfa z Berlina) — z jakąś uczoną, paryżanką, płakałem nad losami nieszczęśliwéj Francji; (biedny rzeczywiście Paryż! ale my biedniejsi, bo gdzież teraz będziemy jeździć, aby żyć!!) jedna tylko ciocia hrabina, mogła mnie była jednym słówkiem zdradzić, ale, chociaż krzywo na mnie patrzy, dla honoru familji, przemilczała. I ciągnęłoby się to bez końca, ale nagle spostrzegłem że, jak to często u mnie bywa, zabrakło mi pieniędzy, uciekam więc czemprędzéj, żeby uroku nie stracić. Jednak to dobrze z tym podziałem Polski na trzy oddzielne prowincje! jedni o drugich i ze słuchu nawet niewiedzą— a choćby się w końcu poznali na mnie w Krakowie — to zostanie mi jeszcze Królestwo i Litwa. Trzeba sobie radzić jak można, kiedy już dla nas nie ma Paryża!

Nie pokazuj nikomu tego listu.

P. S. Był tu także jednocześnie ze mną kuzynek doktor, ale, znasz go, jak mól jaki, grzebał się tylko w książkach i rozumie się, nikt ani nie zwrócił uwagi na neigo.

Przed Muzeum
techniczno-przemysłowem.

Dr. Baraniecki:

„Panowie i panie!
Najpiękniej prosimy,
W téj budzie dość miejsca,
Wszyscy się zmieścimy.

Profesory,
Redaktory,
Młodzi, starzy,
Jak się zdarzy,
Każdy co tchu
Już prawi tu.
Powabne panie
Sliczne panienki,
Prędko wdziewajcie
Skromne sukienki
I do Techniki
Na wykładziki
Przyjdźcie choć raz,
A my już was
Tak uraczymy,
Tak zabawimy,
Tyle ciekawych
Powiemy rzeczy:
O wielkiej pieczy
Jaką mieć trzeba
Przy gospodarstwie,
Dla sprawy chleba —
I o rolnictwie,
Ogrodownictwie,
O sztukach pięknych
I o muzyce, —
Coś o historji
I statystyce
Wszystko potrosze
Za małe grosze“

Doktór przyzywa —
Nikt nie przybywa —
Do próżnéj sali
Nikt się nie wali —
Tylko wiatr wieje,
Niemiec się śmieje.

Konkurs
na posadę Radcy szkolnego, zredagowany przez kilku panów Radnych miejskich.

Na posadę radcy szkolnego z Krakowa, opróżnioną w skutek złych humorów hr. Potockiego, ogłasza się konkurs na warunkach następujących:

1. Kandydat obowiązany jest urodzić się hrabią z miecza i kądzieli, przynajmniej od trzech pokoleń.

2. Musi zajmować jeśli nie kilkanaście to chociaż kilka innych korzystuych posad i zajęć.

3. Powinien mieć stargane zdrowie, dla poratowania którego, z góry udziela mu się trzechletni urlop.

4. Powinien się dać długo prosić, aby przyjęcie posady mogło być poczytane za pewien rodzaj bohaterskiego poświęcenia.

5. Po objęciu radcostwa obowiązany jest:

a) podziękować nam łaskawem skinieniem głowy za wiernopodańcze uczucia.

b) niezajmować się wcale sprawami szkolnemi — i dla tego

c) niejeździć nigdy do Lwowa.

Innych żadnych kwalifikacji nie wymagamy.

Sprawy powiatowe.

Rada powiatowa wielicka uchwaliła jednomyślnie wysłać adres zaufania do obecnego prezesa koła polskiego, Dra Zyblikiewicza — i zarazem wezwać inne rady powiatowe o naśladowanie tego przykładu.

Żałoba narodowa,

Z powodu zbliżania się stuletniéj rocznicy pierwszego rozbioru Polski — publiczność krakowska postanowiła: 1. nie uczęszczać na wykłady publiczne w Muzeum techniczno-przemysłowem — aby nie odrywać myśli od głównego przedmiotu rozmyślań — i 2. z uwagi, że następny karnawał przypada już w epoce żałoby — wszystkie bale odbyć w listopadzie — trzymając się téj zasady, że chcąc w piątek przykładnie pościć, trzeba w czwartek porządnie się objeść.

Część urzędowa.

Gazeta urzędowa piekielna podaje następujące nominacje:

I.

Kochany Drze Zyblikiewiczu! Oceniając twoje niepospolite zdolności, mianuję cię *fabrykantem ministrów* naszéj Rzeczypospolitéj Babińskiéj.

Lucyper w. r. *Boruta* w. r.

II.

Kochany hr. L. Wodzicki. Przychylnie do twojego żądania i na przedstawienie naszego *fabrykanta ministrów*, mianuję cię moim *kandydatem* do posad namiestnikowskich w naszéj Rzeczypospolitéj Babińskiéj.

Lucyper w. r. *Boruta* w. r.

III.

Kochany nasz ministrze! Życzeniem jest mojém utworzenie nowéj oznaki honorowéj. — Wzywam cię przeto, abyś przedstawił do mego zatwierdzenia statuta orderu *Kameleona*, którego ty i nasz *fabrykant*, będziecie pierwszymi kawalerami.

Lucyper w. r. *Boruta* w. r.

List otwarty

prawowiernego katolika

do Jego Djabelskiéj Mości

w sprawie sumienia i dubitancji religijnych.

Mój mnie mości miłościwy Panie Djable i (Boże odpuść) bracie kochany!

Nie wiem ażali Wasza Miłość nie przeżegna się z zadziwienia krzyżem św. skoro wyczytasz causam mego do ciebie pisania niniejszego listu. Oto mi idzie, Mociumdzieju, ani mniéj ani więcéj, o nic inszego, jak tylko, abyś Wasza Djabelska Mość rozwiązał mi łaskawie wątpliwość, czy ja jestem jeszcze katolikiem czy nie jestem nim? Bo od czasu jak święta nasza wiara rozbiła się na partykularze, jak ją, Mociumdzieju, pokrajali i porozbierali między się przeróżne apostoły i proroki, których przeczuło Pismo Ste u św. Łukasza w Rozdz. XXII to dalibóg zgłupiałem, i nie wiem czego się trzymać.

Chwaliłem najprzód P. Boga według wzorów ś. p. nieboszczki pani matki; ale ksiądz katecheta wytłomaczył mi niezadługo, że to miara zbyt dziecinna, że dorosłemu człowiekowi nie wystarcza jak nieprzymierzając kurtka z lat dziecinnych nie wystarcza na okrycie grzbietu poważniejszego obywatela. Zacząłem tedy katolikować według recepty księdza katechety. Ale wnet inny przewielebny kapłan przekonał mnie, Mosanie, jak na dłoni, że ów katecheta heretyk, że nie jest ortodoks i dał mi inną receptę na zbawienie. Wtem nieboszczyk, Panie świeć nad jego duszą, Walery Wielogłowski, oświecił mnie przy lampeczce wina i blasku „*Ogniska*“ swego, że ów ksiądz należy do niebezpiecznéj rasy tak zwanych „wściekłych katolików z zepsutą krwią.“ Więc ja tedy w nogi od „wściekłego“ katolicyzmu i pytałem znowu *Ogniska* o drogi zbawienia. A Ognisko dało mi za przewodnika niewinnego Benjaminka, i rzekło: „Ten cię zaprowadzi do prawdziwego żłóbka katolickiego.“ I zaprowadził mnie wyżéj wyrażony Benjaminek do *Przeglądu polskiego*, w którym znany nam literata p. Józef Szujski miewał bardzo przykładne kazania z historji polskiéj. Jeszczem się nie wsłuchał w ten przeglądowy historyzny katolicyzm, gdy z *Przeglądu Lwowskiego* dowiaduję się, Mosanie, z przestrachem, że ów p. Szujski zaprzedany djabłu (nie drukowanemu), że go i skaplerz od piekła nie ocali. W nogi ja tedy od pana Szujskiego do *Przeglądu Lwowskiego* i nuż w prośby: „Dobrodzieje! nie gubcie szlacheckiéj duszy; powidzcie, ale tak, szczerze czyście wy katolicy, czy pod eskortą tego katolicyzmu mógłbym na pewno przeszwarcować się do nieba?“ - A te zacne dusze niechcąc brać na siebie całéj odpowiedzialności za moje zbawienie, odesłali mnie znowu do wielebnych oo. jezuitów. „Ojców jezuitów — myślę sobie — a toć ten jezuicki katolicyzm wyklął Mosanie, któryś papież, a że papieże nieomylnie — ergo ojcowie jezuici przeklęci, a z nimi i moja połowica, która do ich stajenki zagląda i pasy z frendzlami dla ich alumnów wyrabia — także przeklęta i ja który na to przez szpary patrzę, także przeklęty i.... Djable radź! Gdy tylu prawowiernych oszukało mnie i lada fuszerkę wychwalali przedemną jako doskonały wyrób prawdziwego zbawiennego ekstraktu — ty chociaż mi prawdę powiedz: gdzie się dziś chowa wiara święta katolicka i czy ja, do studjabłów! jestem katolikiem czy nie?

Czekam rychłéj odpowiedzi — tylko nie legrafem krakowskim, bo to podobno długa droga—i submituję się do stópek Waszej Djabelskiéj Mości.

Dezydery Fidaliński.

W Dubitkach małych i wielkich, nazajutrz po św. Stanisławie patronie.

Ogień niepalący

czy też

pożar strat nieprzynoszący.

W pewnym kraju — (dla uniknienia niepotrzebnych domysłów i wniosków,— z góry zapewniamy że kraj ten nie leży w tym kraju) — pewien właściciel karczmy zwanéj *Czarną*, choć bielsza była od śniegu, chcąc uniknąć strat nieprzewidzianych, ubezpieczył też karczmę w Towarzystwie ogniowém do wysokości 200 guldenów (NB. guldeny znajdują się i w innych krajach, nie tylko w Galicji, gdzie ich zwykle brakuje). Po niejakim czasie wynikł pożar, karczma się spaliła, ale nie cała: tylko dach, drzwi i okna. Właściciel zażądał wynagrodzenia — Towarzystwo zesłało na grunt delegata (nie dyrektora, bo karczma nie należała do *familji.)* Sumienny delegat nie mogąc ocenić tego co się w popiół obróciło, poradził sobie bardzo dowcipnie i oszacował to co ogień oszczędził. Gdy szacunek tych pozostałości wyniósł jak raz 200 guldenów.—Towarzystwo nie czuło się w możności przyznania wynagrodzenia — a właściciel przekonał się z wielką swoją pociechą, że jak młodzieniec biblijny wyszedł z płomieni pożaru bez najmniejszéj szkody, i rzekł w głębi ducha swego: „Dziękuję ci panie Boże, że nie jestem jako ten *kuzyn*, któremu ogień spalił więcéj niż miał.!“

OGŁOSZENIE.

KONKURS.

Sto egzemplarzy „Klaudji“, znakomitego dramatu p. hr. Koziebrodzkiego w nagrodę temu, kto w recenzji Wystawy obrazów, umieszczonéj w *Kraju*, wynajdzie jednego malarza bez ogromnego talentu i znakomitych zdolności.

FACECJE.

Pani. Anusiu, podaj potrawkę.
Anusia. Oto jest, proszę pani.
Pani. Ależ to tylko połowa kury!.. co to ma znaczyć?
Anusia. Albożja wiem, proszę pani? na własne oczy widziałam, że kucharka zabijała całą.

Wyścigi na torze

krakowskim.

Na przechodzie między jedną a drugą Wesołą, w poniedziałki i czwartki odbywać się będą przy dźwiękach muzyki wojskowéj wyścigi Sontags-Montags-und Donnerstags-rejterów na śpienionych rumakach p. Piechockiego. Wygrywający rumak i jeździec otrzymają w nagrodę dwa baty od hr. Wodzickiego.

Kundmachung.

Do kolei Łupkowsko-przemyskiéj potrzebuje się cztery indywidualitety z kwalifikacjami na profesorów języka niemieckiego, do wyuczenia tego języka kilku person polskiéj nationalności, ponieważ w Verordnungach do gründowania téj pierwszéj krajowéj kolei vorschritowanych stoi pisane, że jedynie taki będzie widziany iść w górę (awansować) który niemiecką mowę sobie przyjedna należycie.

Od zarządu kolei Przem. Łupkowskiéj.

Nowa Legenda o autorze

„Twardowskiego„

Twardowski, jak wieść niesie, uciekłszy przed żoną,
Między niebem i ziemią wisi ciągle pono;
Dziś autor „Twardowskiego,“ z téj samej przyczyny.
Między ultramontany wlazł i libertyny.
Raz w tę, raz w drugą stronę biedny kręci główką —
Za karę jest wahadłem — a miał być wskazówką.

(Nadesłane)

Do panny Franciszki . . sińskiej.

Panno Franciszko! niepięknie z twéj strony,
Wdzierać się w cudzej obowiązki żony;
I na opinji bardzo sobie szkodzisz
Gdy nocą na planty z żonatym wychodzisz.
On w domu żony i dzieci zostawia,
Ciebie śpiewami słowika zabawia.
Cóż ztąd wynika: on odstąpił żony,
Tobą znów wzgardzić musi narzeczony,
A z utraconą i cnotą i wiarą,
Opuszczą cię wszyscy, będziesz panną starą.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Adam Grynfeld. Czcionkami drukarni „Kraju“ od d zarząd. St. Gralichowskiego.